WTOREK
Nr 129 30.X.1979 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Droga do szczepu
Str. 4–5

- Czytelnicy pospieszyli z pomocą!
- W „światomłodowej" rodzinie nikt nie zginie!
- Dziś dla wszystkich –

PIERRE BRICE

Nie tak dawno napisaliśmy w „Gwiazdozbiorze", że nie mamy zdjęcia tego aktora i nie możemy spełnić prośby jego wielbicielek, które się założyły, że „Świat Młodych" ich nie zawiedzie i zdjęcie zamieści. I dziewczynki, i „Świat Młodych" znaleźli się w trudnej sytuacji. I wtedy zaraz odezwali się niezawodni przyjaciele, których poznaliśmy w biedzie. Natychmiast otrzymaliśmy od Czytelników wiele listów i liczne fotografie Pierre Brice'a, wyciągnięte ze zbiorów, z głębi szuflad, spod serca. Oto dowody tej przyjaźni widoczne czarno na białym. Czytelnicy piszą:

„Jeżeli moje zdjęcie pomogłoby rozwiązać tę gnębiącą sprawę, to właśnie je do Was posyłam, żeby czytelnicy się na Was nie zawiedli" – Hania z Lidzbarka. *„Pomogę im, bo przekonałam się na własnej skórze co znaczy przechwalanie się rzeczami, które się posiada... A wy zachowajcie swój przydomek, że przychodzicie każdemu z pomocą"* – Małgosia z woj. kieleckiego. *„Ja chcę wam pomóc, żebyście jednak byli przysłowiową deską ratunku. I nie stracili sobie sympatii u niektórych młodych ludzi".* – Waldemar z Inowrocławia. *„Wysyłam wam je żebyście nie przegrali wraz z wielbicielkami tego zakładu".* – Ela z Poznania. *„...wysyłam, bo wiem, że jeśli macie możliwości załatwienia czegoś, to się staracie, by nie zawieść".* – Jagoda z Wrocławia.

Jak się okazało, wielu mamy przyjaciół. Zdjęcia aktora przysłali jeszcze i Lida ze Lwowa, która się dopiero uczy języka polskiego, i Andrzej z Tarnowa, i Danuta „z dalekiej i pięknej Nysy" – po prostu nie sposób cytować wszystkich listów, tak ich jest dużo. Większość nadesłanych zdjęć nie nadaje się do publikacji: zbyt zniszczone, słabe technicznie. Nieważne, liczą się dobre chęci i serce. Dziękujemy, kochani, w imieniu redakcji i dziewczynek, które się założyły. Miło pomyśleć, że w „światomłodowej" rodzinie nikt zakładu nie przegra.

Redakcja

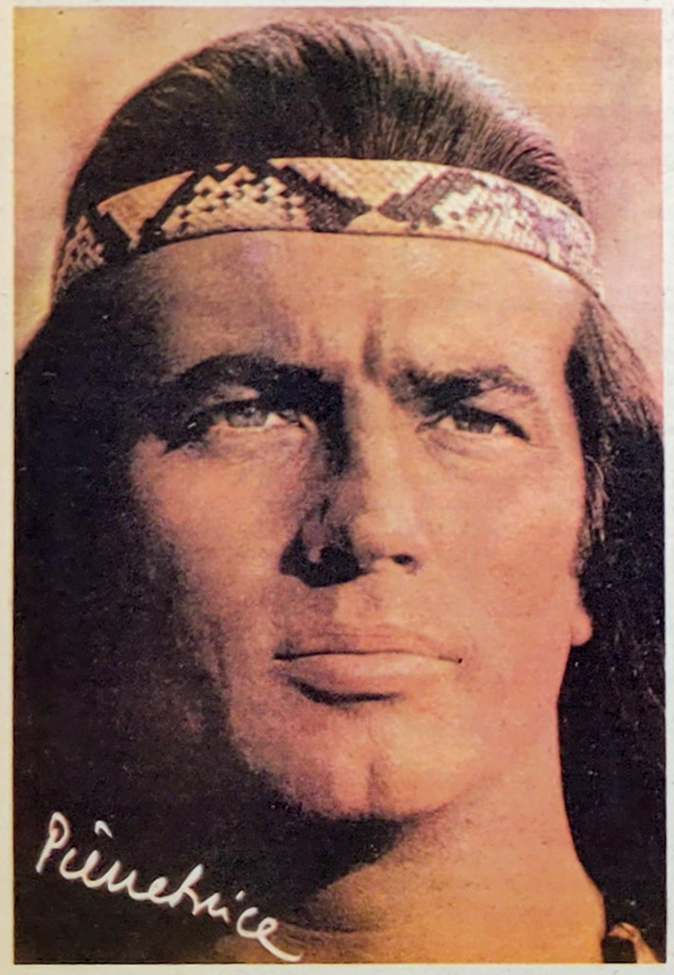

Próba sprawności i odwagi

Jesienna gra nocna cieszyńskich harcerzy ma już jedenastoletnią tradycję. I nie może być dumny z siebie ten, kto nie brał w niej udziału. Wymaga ona bowiem solidnego przygotowania, sprawności i odwagi.

Najpierw trzeba przepłynąć rzekę na niewielkiej tratwie, a następnie nawiązać z bazą łączność telefoniczną za pomocą aparatów polowych. Kolejne zadania, to pokonanie terenu skażonego, odczytanie listu-szyfru, wykazanie się znajomością zasad udzielania pierwszej pomocy, urządzenie biwaku z ogniskiem, a na koniec – zdobycie szczytu Zebrzydki.

W tegorocznej grze, rozegranej z 13 na 14 października, najlepiej spisał się patrol Zespołu Szkół Ogólnokształcących im. Antoniego Osuchowskiego w składzie: Joanna Stanieczek, Magda Morawiec i Janek Kulig (na zdjęciu). Spotkaliśmy ich na ulicach Cieszyna, wracających ze zdobytym trofeum – pucharem.

Wesołej trójce z ogólniaka gratulujemy sprawności i odwagi, a wszystkie druhny i druhów z HSPS zachęcamy do podobnych wypraw, póki aura sprzyja. **(rat)**

Fot. **Marek Szymański**

SZALONY POMYSŁ OJCÓW MIASTA

„Beatlesi" w brązie

W. BRYTANIA (PAP). Dziesięć lat minęło od chwili, gdy słynny zespół „The Beatles" przestał istnieć. W tym czasie powstało i rozpadło się wiele zespołów młodzieżowych, natomiast – i to jest interesujące – mit czwórki chłopców z Liverpoolu nadal jest żywy, chociaż każdy z nich działa już od dawna na własną rękę. Ostatnio władze rodzinnego miasta Paula, Johna, Ringo i George'a postanowiły na jednym z centralnych placów miasta... wystawić pomnik swoim „chłopcom" – dziś już zresztą panom w średnim wieku. Nad czterema brązowymi statuami (każda o wysokości 2,5 metra) pracuje miejscowy rzeźbiarz Bryan Bergess. Uroczyste odsłonięcie pomnika nastąpi w roku przyszłym – organizatorzy liczą, że będzie to znakomita okazja, by przypomnieć przeboje „Beatlesów" z lat sześćdziesiątych.

Decyzja liverpoolskiego magistratu podyktowana została nie tylko chęcią uczczenia swych popularnych ziomków – władze miasta liczą, że przy tej okazji zjedzie się masa turystów, a to pozwoli na załatanie finansowych dziur w budżecie. Na razie za najpilniejszą inwestycję miasta uznano doprowadzenie do porządku małej uliczki oraz znajdującego się na niej pomieszczenia, zwanego „Piwnicą", gdzie „Beatlesi" rozpoczęli swą karierę. Tam bowiem, niczym do Mekki podążają dzień w dzień amerykańscy turyści. Warto też dodać, że niemal co dzień ginie tabliczka z napisem „Penny – Line", ulicy uwiecznionej w jednej z piosenek niegdysiejszych młodych idoli.

Zresztą cokolwiek by się powiedziało o stawianiu na piedestał członków nie istniejącego już dziś zespołu, i wielkiego szumu organizacyjno-finansowego ojców miasta, jedno jest pewne – to był naprawdę dobry zespół... **(tem)**

Fot. **archiwum**

Nasi Czytelnicy fotografują

DZIEWIĘĆSIŁ

„Chciałbym pogratulować świetnego pomysłu wciągnięcia do współpracy czytelników – pisze **Piotr Korycki z Olsztyna.** – *Dołączam swoją cegiełkę w postaci zdjęcia dziewięćsiła bezłodygowego* (Carlina acaulis). *Zdjęcie to wykonałem w Beskidzie Żywieckim. Dziewięćsił bezlodygowy występuje w Polsce głównie w górach i jest rośliną chronioną...".*

Inny Czytelnik, **Marek Ferdyczak z Kłomnic,** pyta: *„Czy do konkursu mogą stawać wyłącznie zdjęcia barwne na papierze, czy też przeźrocza i zdjęcia czarno-białe? Jaki jest obowiązujący format nadsyłanych zdjęć?"* W konkursie biorą udział wszelkie możliwe zdjęcia barwne i czarno-białe, obojętnie – na odbitkach czy przeźroczych, byle były poprawne technicznie, no i oczywiście ciekawe! Format odbitek też jest dowolny, choć najbardziej pożądany – w granicach od pocztówki do 18 × 24 cm. **(tok)**

Łódzkie nastolatki mają swój teatr!

PAP (ŁÓDŹ). Stał się nim Teatr Ziemi Łódzkiej, do niedawna jeszcze teatr objazdowy, który osiadł właśnie w Łodzi na stałe. Jego siedziba mieści się w Pałacu Młodzieży – nic więc dziwnego, że plany repertuarowe zawierają aż sześć przedstawień dla młodych widzów. Sezon otwiera „Odprawa posłów greckich" Jana Kochanowskiego. A w planach troszkę dalszych zespół ma coś lżejszego – muzyczną komedię wg powieści Jirego Brdecka „Joe strzela pierwszy". **(eb)**

PIERWSZY POLSKI SKANSEN MA JUŻ 20 LAT

KROSNO (PAP). Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku rozpoczęło 21 rok swej działalności. Jest to pierwsza tego typu placówka utworzona w naszym kraju. Oryginalność sanockiego muzeum na wolnym powietrzu polega na przenoszeniu zabytków w niemal autentyczne środowisko krajobrazowe. W 38-hektarowym parku etnograficznym nad Sanem zrekonstruowano dotychczas ponad 100 obiektów reprezentujących drewniane budownictwo ludowe Podkarpacia – od Nowego Sącza do Przemyśla. Wnętrza zabytkowych budowli wyposażone są w oryginalne sprzęty i przedmioty codziennego użytku. **(kż)**

O tym warto wiedzieć

Normalizacja – „esperanto nowoczesności"

Niewiele jest takich dziedzin ludzkiej działalności, o których nie można by powiedzieć, że zaczęły się już w starożytności – gdzieś w Grecji, Chinach czy Egipcie. Tak jest też z normalizacją, która, mówiąc najkrócej, polega na tym, że ustala się pewne cechy wytwarzanych przedmiotów, np. ich wymiary, ciężar objętość, cenę i pilnuje, aby te ustalone normy były przestrzegane. Otóż taką zasadę stosowali dwa tys. lat p.n.e. budowniczowie piramidy Cheopsa – używali mianowicie bloków skalnych obrabianych w ściśle określonych wymiarach. Podobne typowo normalizacyjne zasady nieobce były Sumerom, Kartagińczykom i plemionom Medów, którzy swą broń wykonywali wedle przyjętego wzoru. Z kolei w Polsce normalizacja zaczęła się od okresu panowania Kazimierza Wielkiego, który ustalił jednostki ciężaru soli w żupach solnych: miały to być „małe i duże bałwany". W 1570 r. Zygmunt August znormalizował wymiary cegieł. Zaś z upływem kolejnych wieków normalizacja zaczęła obejmować coraz to więcej dziedzin ludzkiej wytwórczości i życia.

Dziś istnienie norm, którym muszą sprostać przedmioty i urządzenia, ba, nawet całe zakłady wytwórcze i technologie – jest czymś tak oczywistym, że się nad tym właściwie nie zastanawiamy. Normalizacja jest wszechobecna i obok przemysłu obejmuje takie dziedziny jak transport, bankowość, informatyka, akustyka, ergonomia, medycyna, poligrafia. Ustala się normy w handlu i ochronie środowiska.

W związku z tym już dawno normalizacja przestała się ograniczać do ustalania wymiarów (np. gwintów czy otworów w płytach gramofonowych), ciężarów itp. Mamy też normy bezpieczeństwa, higieny, pewne normy estetyczne i całą masę innych.

Za przykład niech posłuży krajowy przemysł zabawkarski, objęty właśnie w ostatnich latach intensywną działalnością normalizacyjną. Opracowywane tu normy dotyczą takich wymogów jak bezpieczeństwo i higiena użytkowania zabawek (nie mogą być np. one zrobione z materiałów toksycznych, drażniących, o przykrym zapachu), walory użytkowe, wygląd (nie mogą np. przypominać kształtem broni palnej), ich pakowanie, a także przechowywanie i transport.

Szczególne jednak znaczenie ma normalizacja w kontaktach międzynarodowych, a już zwłaszcza w wymianie handlowej. Znormalizowanie przepisów technicznych różnych krajów gwarantuje skuteczniejszą wymianę. Nie tylko zresztą towarów – także myśli technicznej. Może dlatego o normach mówi się, że są esperantem nowoczesności...

To wszystko sprawia, że normalizacją zajmuje się na świecie wiele specjalnych organizacji. Najważniejsza – to Międzynarodowa Organizacja Normalizacyjna (ISO), która opublikowała dotychczas 3736 norm międzynarodowych. Polska, reprezentowana przez Polski Komitet Normalizacji Miar i Jakości, uczestniczy w pracach tej organizacji, jak i szeregu innych. Ogółem w ISO uczestniczy ok. stu krajów. Wszystkie one obchodziły nie tak dawno, bo 14 X, Światowy Dzień Normalizacji.

(tok)

Rozmowa PA Interpress z kierownikiem polskiej wyprawy polarnej, prof. dr JANEM SZUPRYCZYŃSKIM

WIELKIE LABORATORIUM NATURY

– Niedawno powróciła ze Spitsbergenu pierwsza zmiana polskiej wyprawy badawczej. Z czego wynika nasze zainteresowanie właśnie tą wyspą?

– Jest to tradycyjny rejon polskich eksploracji. W tym roku mija 45 lat od czasu, gdy po raz pierwszy Polacy rozpoczęli tam badania. Każda z wypraw przywoziła do kraju wyniki obserwacji, które pozwalają na sformułowanie wielu cennych dla nauki wniosków. Poza tym rejon Spitsbergenu jest nadal stosunkowo słabo spenetrowany, także pod względem bogactw naturalnych. W latach 1957–1960 na obszarze południowego Spitsbergenu, w fiordzie Hornsund, a więc w najbliższym otoczeniu stacji, polscy geolodzy odkryli złoża węgla kamiennego. Złoża zostały wstępnie udokumentowane. Obecnie grupa specjalistów z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie podejmie próbę zbilansowania tego złoża i odpowie na pytanie, czy jest ekonomicznie uzasadnione podejmowanie jego eksploatacji. Oczywiście problemem otwartym pozostaje to, czy skorzystamy z tych złóż.

– **Powiedział Pan „skorzystamy". Przecież Spitsbergen jest terytorium norweskim?**

– Rejon Spitsbergenu i całego archipelagu Svalbardów ma swoisty status prawny, określony Traktatem Paryskim z 1920 roku. Traktat precyzuje, że administracyjnie terytorium to podlega Norwegii. Natomiast sygnatariusze Traktatu, wśród których jest i Polska, mają na tym terenie prawo swobodnego prowadzenia badań i pierwszeństwo w eksploatacji odkrytych surowców mineralnych. Aby mieć prawo do eksploatacji np. węgla, trzeba wykupić działkę górniczą. Norwegowie na obszarze tradycyjnie badanym przez Polaków dotychczas nikomu działki nie sprzedali. Uznają, że pierwszeństwo należy do nas.

– Bardziej interesująca od węgla jest ropa naftowa...

– Jeśli idzie o ropę, uważa się, że rejon Svalbardu, leżący w przedłużeniu bogatych złóż szelfowych na Morzu Norweskim, jest rejonem perspektywicznym, czyli istnieje duże prawdopodobieństwo odkrycia tam ropy. Wiele państw, na przykład Norwegia i Związek Radziecki, szeroko penetruje te obszary. Ropy naftowej na Spitsbergenie poszukują także wielkie koncerny naftowe – chociażby Shell. We współpracy z instytucjami norweskimi poszukiwania podjęli również polscy geofizycy z Instytutu Geofizyki PAN. Wyprawa na polskim statku badawczym „Kopernik" prowadziła badania na szelfie Svalbardu, a ściślej w zachodnich rejonach tego szelfu.

– **Jakie są perspektywy eksploatacji tamtych złóż?**

– Trudno cokolwiek powiedzieć. Wyniki eksploracji okryte są jeszcze tajemnicą. Wiem, że przy okazji poszukiwań ropy naftowej natrafiono na złoża gazu ziemnego i to w dwóch punktach Spitsbergenu; na Ziemi Oskara II i w rejonie południowo-wschodnim. Prawnie są to znaleziska norweskie. Jak wspomniałem, bliższe dane nie zostały ujawnione.

– **Czy badania, którymi Pan kierował, miały na celu poszukiwanie ropy naftowej?**

– Nasze badania były naukową, wstępną fazą, prowadzącą do podjęcia kroków ściśle poszukiwawczych. Etapu poszukiwawczego polskie wyprawy jeszcze nie rozpoczęły. Może nastąpi to w następnych fazach ekspedycji.

– **Jakie więc zadania realizowała ekspedycja?**

– Ubiegłoroczna wyprawa miała w zasadzie dwa cele. Główny, techniczny, to zbudowanie polskiej

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

Ależ nie ma za co!

„Przepraszam za błędy" – tak kończy się niejeden list do redakcji, w którym się od nich aż roi. Ortografia oczywiście nie jest najważniejsza, bardziej liczy się to, co i dlaczego ktoś do nas pisze. A jednak myślę wtedy tak: to on wiedział, że robi błędy i nie zajrzał do słownika? Bo przecież nie jest to nic nie znacząca, konwencjonalna formułka, skoro tyle tu tych byków! Więc może przeprasza mnie za swoje lenistwo?

Przepraszanie za swoje wady dowodzi zwykle chwalebnej skromności. Ale czy zawsze?

Niedawno byłem u Jurka (nie: „Jórka" – sprawdziłem!), który zaprosił kilka osób na mały wieczorek „zapoznawczo-pożegnalny" – jak się wyraził. Poznaliśmy się wszyscy na wczasach i Jurek, który był tam duszą towarzystwa, zaproponował kontynuowanie znajomości, co ułatwiał fakt, iż większość z nas mieszka w Warszawie. Tylko Ewa przyjeżdża z Żyrardowa, umówiliśmy się więc z nią pod dworcem, aby wspólnie odszukać Jurkową „dziuplę", w której nikt z nas jeszcze nie był. Pokonawszy piechotą dziewięć pięter (obie windy były nieczynne) zadzwoniliśmy do drzwi i wycieraliśmy starannie nogi. Juras jak zwykle promieniał.

– Prześliczne, wspaniałe kwiaty! – przywitał goździki od Ewy. – Ależ po co to, Julek, nie trzeba – powiedział przyjmując ode mnie ciastka od Bliklego. – Doczekać się już was nie mogłem, właźcie! I wybaczcie mi ten bałagan – dodał z czarującym uśmiechem.

– Na pewno przesadzasz – „znalazła się" Beata.

Nie należę sam do najporządniejszych, ale byłem nieco zdziwiony tym, co zobaczyłem w pokoju. Ja w każdym razie nie wpuściłbym gości nie wytarłszy kurzów i nie zmieniając tej poplamionej serwety na stoliku. Bo rozrzucone wszędzie ubrania i książki Jurek upychał jakoś do szafy zwalniając nam krzesła, byśmy mogli usiąść.

– Przepraszam was bardzo, ale nic takiego dobrego do jedzenia w domu nie ma – sumitował się Jurek. – Ale zrobimy sobie zaraz jakieś kanapki, pomożecie mi, dziewczyny, prawda?

– Oczywiście! – poderwały się zaraz – dawaj, co masz i nic się nie martw!

– Wiedziałem, że mogę liczyć na wasze zręczne rączki – ucieszył się Jurek. – Wiewióreczki moje, jak się cieszę, że was znowu widzę!

Z zazdrością patrzyłem na rozpromienione twarze krzątających się w kuchni dziewcząt. Jak ten Jurek potrafi zagaić!

– Gdzie masz jakiś talerz i szklanki? W zlewie? Nic nie szkodzi, zaraz pozmywamy! – i Ewa pogłaskała Jurka, który przybrał najtragiczniejszą ze swych komicznych min mówiącą: „taki już jestem okropny, ale dam się lubić".

– Ach, Julek, słuchaj – tym razem czarujący uśmiech przeznaczony był dla mnie – nie wiem, czy wystarczy masła. Może skoczyłbyś i kupił? Sklep jest bliziutko. Mnie nie wypada przecież zostawić gości!

– I kup może jeszcze jakiegoś sera, puszkę rybek, albo jajka, bo nie będzie co na te kanapki położyć! – dodała Beata.

Skoczyłem. A gdy zasiedliśmy wreszcie do jedzenia, Jurek raz jeszcze zaczął nas przepraszać.

– Nie gniewacie się, prawda? U mnie możecie się zawsze czuć jak u siebie w domu!

Oczywiście wybaczyliśmy mu. Takim, którzy potrafią być mili, zwykle się wszystko wybacza. Tylko gdy wszedłem w którymś momencie do łazienki, poczułem się głupio, jak bym kogoś podglądał. Przygotowana do prania bielizna, namoczone w miednicy skarpetki, otoczka brudu w wannie...

Pointy na zakończenie tego felietonu nie będzie. Przepraszam Was, ale nie chciało mi się dłużej myśleć!

JULIUSZ GOSTKOWSKI

REDAKCYJNA POCZTA

Tak właśnie siebie nazwałyśmy!

Nasz zespół składa się z czterech dziewcząt o imionach: Małgośka, Marta, Elżbieta i Ewa. Istnieje zaledwie od początku tego roku szkolnego, ale już dawałyśmy występy. Pierwszy odbył się przed publicznością klasową, która była z nas bardzo zadowolona. Następny zaproponowano nam w klasie VIII „S" – sportowej. Tam również odnioshyśmy sukces. Teraz przygotowujemy się do występu przed całą szkołą. Aparaturę techniczną mamy nieszczególną. Posiadamy wprawdzie organy elektronowe, ale nie możemy ich przecież transportować na każdy występ. Melodię więc nagrywamy na taśmę magnetofonową i w czasie występu puszczamy. Oprócz organów mamy takie instrumenty jak tamburyn, bębenki, grzechotki, kastaniety i inne. Choreografię opracowujemy same. Przyjęłyśmy nazwę „Sernik Domowy".

Zespół „Sernik Domowy"

Napiszcie czytelnicy

Piszę do Was w sprawie, która dla tych, którzy nie kochają psów, może być błaha i śmieszna. Mam jednak nadzieję, że zechcecie rozpatrzyć ją. Gdy dostaliśmy mieszkania, mama powiedziała, że dostanę psa, o którym marzyłam od najmłodszych lat. I zrobiła to, przywiozła od cioci dwumiesięcznego szczeniaka rasy owczarek niemiecki. Był u nas ok. 4 miesięcy. Wszyscy go lubili, a ja – kochałam. Był mały, śliczny, jednak psocił jak każde szczenię. Mama powiedziała, że odwieziemy go na wieś, a gdy podrośnie, przyjedzie do nas z powrotem. Pies wyrósł na dużego, groźnego wilka. Prosiłam rodziców tyle razy, żeby mi go przywieźli. Mama powiedziała, że nie. Mówiła, że jest za duży, dużo je i śmierdzi. Poza tym wszyscy do południa są poza domem i pies byłby sam. Tłumaczyłam mamie, że ludzie mają jeszcze większe psy i też pracują. Mama nie ustępuje! Co mam robić? Kocham strasznie tego psa! Jestem do niego przywiązana (on do mnie też). Jeżdżę do niego co dwa tygodnie, ale co z tego? Co robić?! Może ktoś z czytelników miał podobną sytuację? Błagam, napiszcie!

Katarzyna

Prezent dany – sprawa z głowy

Zorganizowałyśmy chłopcom z klasy „Dzień Chłopaka". Jest ich dwa razy tyle co nas. Złożyłyśmy się i kupiłyśmy maskotki „zajączki" i torebkę cukierków. Przed pierwszą lekcją rozłożyłyśmy prezenty na ławkach, gdzie siedzą chłopcy. Chłopcy po dzwonku wtargnęli do klasy i od razu rzucili się do prezentów. Z początku byli bardzo zadowoleni, ale już po pierwszej lekcji zaczęli je psuć, łamać, wydłubywać oczy, odgryzać uszy i dziurawić cyrklami. Jesteśmy bardzo zaskoczone ich zachowaniem. Nie chcemy jednak zadzierać, bo to ostatni rok nauki. Co robić, jak postępować dalej?

Uczennice klasy VIIIb z Góry Śl.

OD REDAKCJI: Rzeczywiście koledzy zachowali się co najmniej nietaktownie. Niewykluczone, że chcieli być dowcipni i w ten sposób zaimponować klasowej mniejszości. Że nie bardzo im się udało – to fakt. Radzimy nie wracać w klasie do tego tematu, bo prezent dany – sprawa z głowy, jego właściciel ma prawo robić z nim, co zechce. Na pociechę zostaje świadomość, że przez godzinę cieszyli się i byli mile zaskoczeni Waszą pamięcią. (wm)

Motoryzacyjna nowość z Jelcza

WŚRÓD AUTOBUSÓW SĄ TEŻ „MALUCHY"

Mówiono o nim – szkolny. I dlatego widząc pewnego dnia w zgrabnym mini-Berliecie dorosłe twarze sam uległem złudzeniu, że coś w tym obrazie nie gra. Konstruktorzy zapytani o jego dokładne przeznaczenie mówią: „Szkolny? Tak, również i taki. Ale najtrafniej nazwać go można socjalnym". Czyli takim, który na niezbyt dużej trasie przewozić może dzieci do szkół, ale też starszych do pracy, na wycieczki, a w niewielkich miastach po prostu do jednego z przystanków komunikacyjnych. Takiego autobusu brakowało nam od dawna, a stosowane środki zaradcze na dłuższą metę nie mogły zdać egzaminu. Z roku na rok tak zwana „Polska prowincjonalna" jeździła coraz gorzej. Zwłaszcza tam, gdzie nie mógł się sprawdzić w eksploatacji duży pojazd – drogi, mało zwrotny, przystosowany do asfaltowych szos i niewielkich obciążeń.

A swoją drogą, przeznaczenie nowego polskiego autobusu Jelcz 080 stawia szkoły gminne od dawna czekające na własne środki transportu na pozycji jakby nieco przegranej. Bo czy szkoła tak łatwo może wygrać starania o Jelcza na przykład z dużym, bogatym zakładem przemysłowym?

Dlaczego Jelcz?

Właśnie – przecież większość rodaków kojarzyła go do tej pory wyłącznie z samochodami ciężarowymi dużej ładowności i licencyjnym autobusem miejskim Berliet. Rok 1973: założenia mówią o produkcji 5000 Berlietów rocznie. Pełne wykorzystanie możliwości produkcyjnych zakładu, supernowoczesny produkt mający załatwić problemy komunikacyjne wielkich miast. Do tej ilości przystosowany został park maszynowy, nowe hale, wyszkoleni pracownicy. I nie wyszło: zawiedli przysłowiowi kooperanci, którzy nie byli w stanie uruchomić na czas produkcji niektórych podzespołów. Został czas, miejsce i fachowcy dla budowy nowego, mniej skomplikowanego technologicznie pojazdu.

Pomysł takiego autobusu, podstawowe założenia konstrukcyjne istniały od 1974 roku. W jelczańskim Ośrodku Badań Rozwojowych pracowano nad nim trochę, nie wiedząc jeszcze, kto i czy w ogóle podejmie się jego produkcji. Inżynier Jerzy Kierecki, kierownik Biura Studiów wydawał polecenie wykorzystywania szkiców. Mimo to prace systematycznie posuwały się naprzód. Czym kierowali się wówczas młodzi inżynierowie, Wojciech Błęcki i Marek Siadak, kreśląc elementy nowego autobusu w ten dość skomplikowany sposób? Może właśnie młodzieńczym zapałem, chęcią sprawdzenia się. Szansa była.

Następca

Co to jest Osinobus? Podwozie Stara plus blaszana buda z wbudowanymi siedzeniami dla pasażerów. Tę niezbyt wytworną „składankę" od wielu lat z powodzeniem produkowała... Kopalnia Rudy Żelaza w Osinach koło Częstochowy. Nowy autobus z prawdziwego zdarzenia – Jelcz 080 – miał w przyszłości zastąpić przestarzałe już Osinobusy, zachowując ich podstawowe zalety: niską cenę i montaż wyłącznie z części krajowych. Prototyp dzisiejszego Jelcza 080 uwzględnił te właśnie cechy. Skojarzono w nim dwa produkty w całości powstające w kraju – podwozie najnowszego Stara 200 i nadwozie wzorowane na sylwetce autobusu Jelcz PR 110. Egzemplarz pokazany na wystawie w Przemysłowym Instytucie Motoryzacji wzbudził ogromne zainteresowanie. To jest to – krzyknęli zgodnie fachowcy od spraw transportu.

A egzemplarz wystawowy istotnie był ładny...

Tyle że na razie nikt go oficjalnie nie chciał. Decyzji o podjęciu produkcji w Jelczu jeszcze nie było. A Osiny słysząc o planowanym zapotrzebowaniu na nowy produkt zareagowały mniej więcej tak: „My tu, kochani koledzy, rozmawiamy o autobusach, tak, wiemy, że potrzebnych. Przypomnieliśmy sobie jednak w tej chwili, że jesteśmy przecież kopalnią, mamy Kartę Górnika i tak naprawdę przejście do resortu motoryzacyjnego raczej nas nie interesuje".

W 1978 roku minister przemysłu maszynowego, Aleksander Kopeć, rozstrzyga wątpliwości: autobus 080 produkowany będzie właśnie w Jelczańskich Zakładach Samochodowych.

Ku wielkiej serii

Inżynier Józef Kiezik, kierownik Biura Konstrukcyjnego Autobusów dzisiaj może już odetchnąć spokojniej. Wtedy, przy wdrożeniu prototypu 080 do seryjnej produkcji, kłopotów było niemało. 25 lat pracy przy autobusach dawały inżynierowi Kiezikowi przekonanie, że wszystko się z najmłodszym Jelczem uda. A jednak ryzyka nie można było wykluczyć do końca. Ot, choćby sprawa tylnej osi. Po zabudowaniu na podwoziu typowego Stara nadwozia autobusu, to ostatnie wykazywało tendencje do przechylania się na zakrętach. Dopracować... No tak, tylko zamienić seryjny produkt nie jest tak łatwo. Inżynierowie Jerzy Lewiecki, Henryk Bukacki i Marian Okowiak: gdy „gorąca linia" telefoniczna przerzucona pomiędzy Jelczem i Starachowicami nie wystarczyła, spakowali walizki i więcej czasu spędzili w podróżach między obydwoma zakładami, niż we własnych domach. I załatwili przedłużenie ramy, zastosowanie wspomaganego układu kierowniczego, stabilizatora tylnej osi, wyciszenie silnika. Dokumentacja technologiczna została zatem zamknięta.

Produkcja detali do serii informacyjnej ruszyła w lipcu 1978 roku. W styczniu 1979 z pasa montażu końcowego zszedł autobus z kolejnym numerem 100. Do końca roku ma ich być o 1000 więcej.

Produkcyjna kuchnia

Jak powstaje autobus? Szkielety ścian bocznych i ramę nadwozia spawa się w całość przypominającą dużą klatkę, do której przymocowane są następnie części blach wewnętrznych. Dach pojazdu, przygotowywany na oddzielnym stanowisku, gruntowany jest dalej wraz z blachami zewnętrznymi, następnie myty, szlifowany, szpachlowany i lakierowany. Dopiero takie czyste, lśniące nadwozie montowane jest na podwoziu Stara 200A. Potem jeszcze montaż płyt podłogowych i montaż ostateczny: instalacja elektryczna, szyby, siedzenia, ścianki działowe, listwy ozdobne. Gotowy wóz przechodzi próbę drogową na dystansie 50 km. Mechanicy po jej zakończeniu usuwają ewentualnie usterki, jeszcze raz idą w ruch urządzenia myjące i... Dział Zbytu czeka. Czekają też przyszli pasażerowie. Najpewniej z nadzieją, że otrzymają pojazd estetyczny, funkcjonalny, zawsze sprawny. Co przynajmniej w części i od nich samych zależy...

MAREK ZARĘBSKI

Następca osinobusów, Jelcz 080, może zabrać 51 pasażerów, w tym 31 na miejscach siedzących. Długość pojazdu 8 m. Silnik o mocy 150 KM i 6-stopniowa skrzynia biegów pozwolą na osiągnięcie maksymalnej prędkości 90 kilometrów na godzinę. Zużycie paliwa – 30 l na 100 km. Zasięg zatankowanego autobusu – 820 km. Hamulce: główny, pomocniczy i silnikowy. Dobra widoczność z miejsca kierowcy i równie dobra z przedziału pasażerskiego.

Jeden z prototypowych Jelczy 080, specjalnie przygotowany do przewozu uczniów, otrzymała podjelczańska szkoła zbiorcza w Laskowicach. Eksploatowany w naprawdę trudnych warunkach spisuje się znakomicie.

Fabryka zapewnia, że z pozostałymi egzemplarzami będzie (i jest) podobnie. Chcielibyśmy w to wierzyć – my wszyscy, korzystający z publicznych środków transportu. W końcu Osinobusy były dobre, spełniały przecież swoją rolę – ale od chwili ich narodzin upłynęło tyle lat, że zasłużyliśmy już na nowy, prawdziwy autobus. Socjalny? Szkolny? Po prostu – przydatny.

A tak na marginesie: „uszkolnienie", przystosowanie Jelcza 080 do potrzeb przewozu najmłodszych polega na wmontowaniu specjalnego bagażnika na uczniowskie torby i innego nieco usytuowania foteli. W sumie niewiele. Gdyby tak jeszcze szkoły korzystały z jakichś udogodnień przy zakupie takich pojazdów...

Dach nadwozia przenoszony jest teraz na stanowisko, gdzie spawa się go z resztą konstrukcji. Od tej operacji zależy bardzo wiele – między innymi brak drzenia we wnętrzu przyszłego autobusu

Fot. K. Adamowski

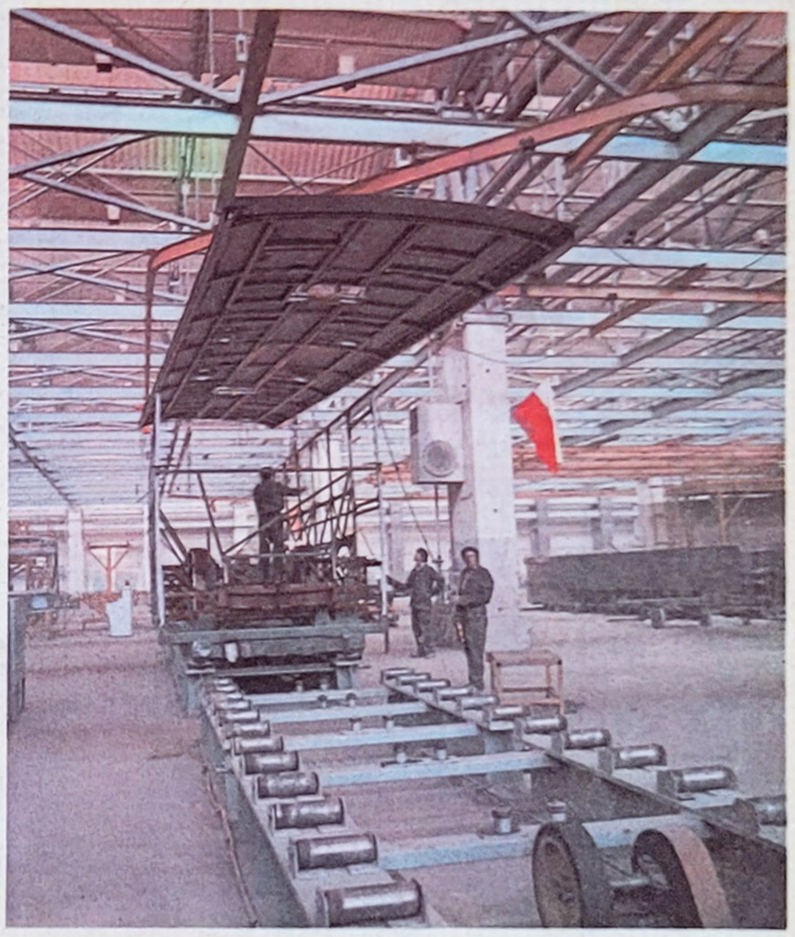

Wyposażenie wnętrza – setki śrub, nakrętek, listew i kabli muszą stworzyć funkcjonalną, sprawnie działającą całość

Fot. K. Adamowski

Już po próbach drogowych. Na placu fabrycznym gorączkowe przymiarki – który egzemplarz wybrać? Który okaże się najlepszy?

Fot. St. Sokołowska

DROGA DO SZC

Jesienią 1978 roku do 5-tej WDH im. Wacława Dunin-Karwickiego pseud. „Luty" w szkole nr 87 powraca po kilkuletniej przerwie w pracy instruktorskiej druhna Barbara Nożewska. Powraca na prośbę rady drużyny i przede wszystkim „cioci" – żony bohatera drużyny. Zastaje sytuację gorszą niż zła. Bałagan organizacyjny. Drużyna liczy 20 osób, ale za to składa się aż z 9 zastępów. Proporzec, pamiątki po bohaterze walają się na podłodze wśród śmieci. Jego czapka i chusta harcerska w ogóle zaginęły.

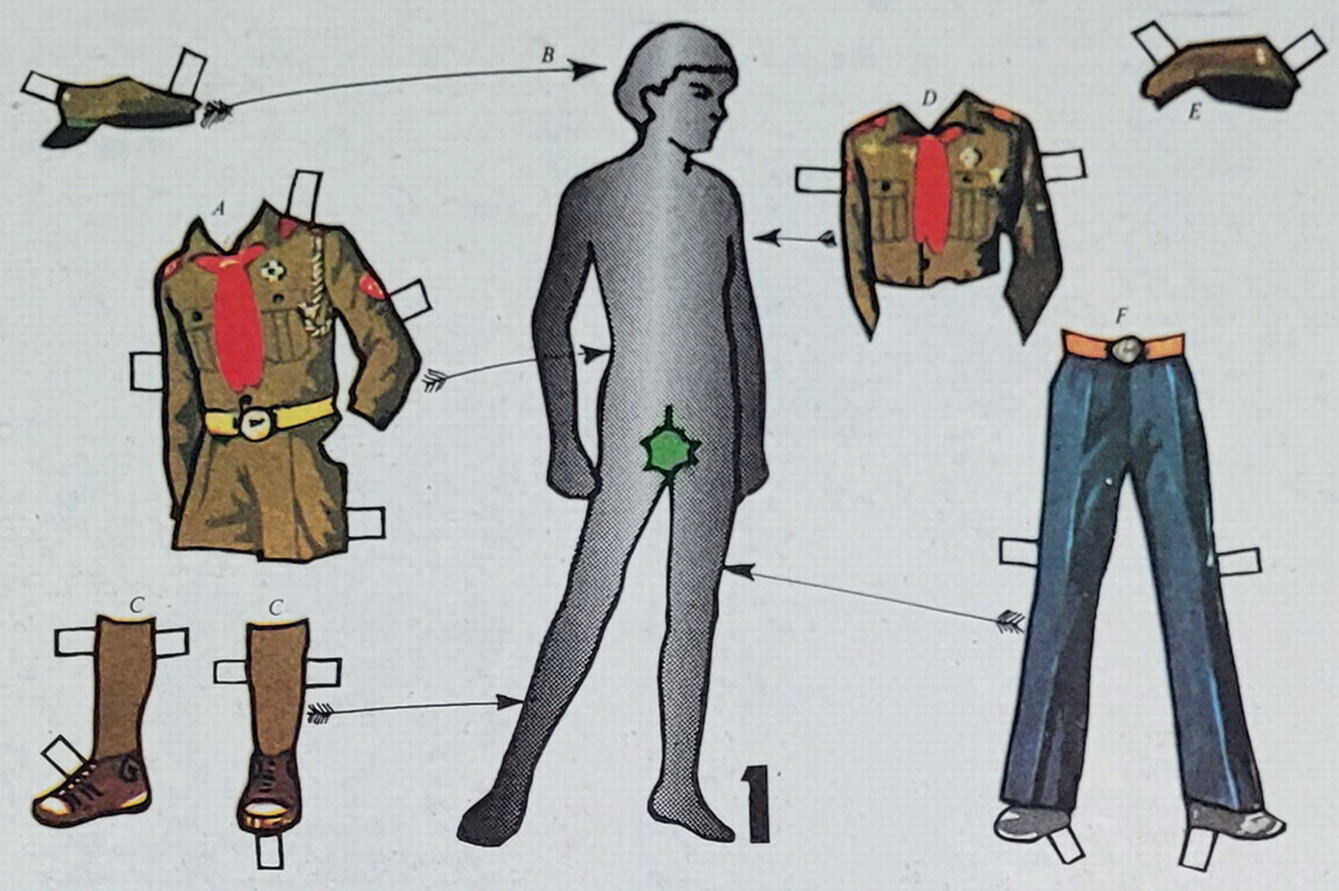

OD NOWA

WOJTEK: Dla poprzednich drużynowych praca w 5-ce była „zsyłką" z ich macierzystej drużyny 69 (5-ka stanowi wspólny szczep z 69 WDH ze szkoły nr 57). A Barbara to już był „ktoś z nas". Dzięki jej zaangażowaniu ruszyli się i inni, np. Jacek Piorun i Andrzej Nalewajek, którzy co prawda przedtem też się starali, ale byli jeszcze za młodzi na kadrę instruktorską.

Barbara wraz z harcerzami natychmiast zabiera się ostro do roboty. Zaczynają od remontu harcówki: skrobanie futryn, ścian, poprawianie podłogi, układanie boazerii, malowanie. Do roboty przyłącza się Wiesiek, mąż Barbary. Nie jest harcerzem, a jedynie sympatykiem. Ten remont to dobry początek nie tylko dla drużyny, ale i dla Wieśka. Wstępuje do harcerstwa, potem kończy kurs instruktorski i „wpada".

ADAM: Na początku trochę to dziwnie wyglądało: dorosły człowiek, a szeregowy harcerz, nawet bez krzyża. Może i niektórzy się podśmiewali, ale to szybko minęło. Spodobało nam się, że traktuje

Byliśmy na wykopkach. Cały tydzień. Zdarzały się co prawda jakieś trzaski i zgrzyty, a jednak – wykopki były fantastyczne! Po pierwsze: lokum w starym dworku pełnym pajęczyn i skrzypiących drzwi. Druga atrakcja – „książęcy sad". Zarośnięty i niesamowicie dziki nęcił malinówkami i słodkimi klapsami. Trzecią niespodzianką była toaleta – jedyna na 30 osób. Klasowi humoryści zastanawiali się, dlaczego dawni mieszkańcy dworku mieli tak nikłe potrzeby fizjologiczne. A może korzystali ze znajdującego się na tyłach dworku ogrodu, gdzie można było na łonie matki Natury oddać się filozoficznym (nie mylić z fizjologicznym) dumaniom? W każdym razie potraktowano to z dowcipem, kpiąc i rechocząc ze „świetnego kawału".

Z wielkim aplauzem za to przyjęliśmy propozycję dyskoteki na parterze naszego trzeszczącego pałacu. Nieco „łyse" ściany nie wyglądały zachęcająco, ale bombowe nagrania stanowczo korzystnie podziałały zarówno na nas, jak i na tubylców rozkręcających się w rytm „Belfastu" Boney M. Nasza żywiołowość i niepospolita żądza tańca zdziwiły nieco opiekunkę klasy, która to (opiekunka, nie klasa) nasłuchała się od rana naszych skarg na „pękające krzyże" i „padające nogi": – „że też macie siłę" – kręciła z niedowierzaniem głową, jakby nie wiedziała, że „na to jest zawsze czas i siła".

Trochę mniej przyjemne było ranne wstawanie, kiedy to dygocąc z zimna, klnąc na swój nędzny żywot i cały ten szary, chłodny świat, na wpół przytomni pruliśmy do łazienki zajmować kolejkę. W łazience tej zaobserwowaliśmy ciekawe zjawisko. Otóż nad głową znajdowała się... dziura prowadząca przez dach „aż do nieba". Gwiazdy w pozycji siedzącej wyglądały diablo romantycznie. Co prawda lejący od czasu do czasu deszcz nie wzbudzał w nas gorącej sympatii. Wiadome było, że w miejscu otworu było kiedyś okienko, a w nim szyba, którą wybito w celu... Celu to raczej trudno się domyśleć. W każdym razie pomysłowość budowniczego była godna podziwu. Z kranu leciała czasem „normalna" woda. Nie jest to takie dziwne, bo czasem leciała też „nienormalna" (a to zdarzało się częściej). Miała bowiem w sobie dużo tzw. ładunków elektrycznych i człowiek z przerażoną miną odskakiwał od kranu, myśląc „ki diabeł?". Działało to skutecznie na wiele zaspanych dwunożnych istot, które budziły się natychmiast, patrząc w osłupieniu i jak najbardziej trzeźwo na „kapiącą prądem" wodę.

Do pracy, której nikt zresztą nie mógł nic zarzucić, jechało się fantastyczną „bonanzą", która obijała każdemu dokładnie boki i nie mieściła się w ramach „luxu". Kierowca – traktorzysta o wyższych ambicjach – jechał z zawrotną szybkością 20 km/h, kiedy my zdzieraliśmy gardła rycząc na 30 głosów „Czarny chleb", aż do zupełnego ochrypnięcia. „Pyrki" (od nich pochodzi zawód specjalistyczny – „pyrolog") były wyjątkowo krnąbrne i uparte. Już po drugim śniadaniu (gorące mleko i gigantyczne pajdy chleba – to było coś!) czuliśmy się jak woły pociągowe, patrząc nieżyczliwie na nasze rodzinne kartofle zalegające tonami 3 hektarowe pole.

W sobotę zaczęto się szykować do odjazdu. Nieco sztuczna radość i fałszywe szepty nie wyrażały naszych prawdziwych uczuć. Jeden tylko Jarek trzasnął kaloszem o podłogę i obwieścił tonem nie znoszącym sprzeciwu – „Fajnie było, psiakrew, jak na obozie!". – Potakiwaliśmy skwapliwie – „Fajnie było, fakt". Nie myśleliśmy już o naelektryzowanej wodzie, dziurze w dachu, batalionach karaluchów spacerujących nad naszymi łóżkami, widelcach zamiast noży, brakujących kubkach, kaloszach grzęznących w błocie. Pożegnaliśmy naszą pegeerowską wioskę, pomachaliśmy kaczkom i kurom z brązowego „Żuka" i rozśpiewaliśmy się rzewnie, nucąc wszystkie harcerskie piosenki. – Nareszcie się umyję porządnie – rozmarzyłam się już o domu.

Ale tak w ogóle, to... fajnie było!

Dorota Z. lat 15

O złoty laur syreny

CZEPU

to wszystko naturalnie, z humorem i że tak mu na drużynie zależy.

JACEK: Zdarzało się, że poleceń poprzednich drużynowych harcerze w ogóle „nie słyszeli". Za to jak Wiesiek coś polecił – a przecież dopiero wciągał się w harcerstwo i w drużynę – wykonywało się to bez gadania.

Drużyna musi znów stanąć na nogi, więc Barbara, chcąc mieć jeszcze kogoś z kadry instruktorskiej do pomocy, ściąga druha Wojtka Krupę. On również wyrósł ze „starej 5-ki".

WOJTEK: Barbara i Wiesiek powiedzieli mi szczerze, że jeżeli nie zdołają zebrać starszej kadry instruktorskiej, nie będzie szans na stworzenie szczepu. Wróciłem, bo szczep to nasze wspólne marzenie od lat. Już w 73 roku wydawało się to bliskie spełnienia. Nie wyszło. Teraz nadzieje znów ożyły i jak się uda, w lutym, na święto drużyny, staniemy się nareszcie samodzielnym szczepem.

ADAM: Co nam to da? Obecny komendant szczepu jest daleko. A jeśli szczepową zostanie druhna Barbara albo druh Wiesiek, będą oni po prostu z nami. Jak teraz nasza drużyna w czymś dobrze wypadnie – np. w Rajdzie Orlim Szlakiem zastęp z naszej drużyny zajął 7 miejsce na 40 zastępów, a zastępy 69-tej dopiero 17 i 23 miejsca – to mówi się o osiągnięciu szczepu, a o nas się nie wspomina.

UCZYĆ SIĘ HARCERSTWA

Remont harcówki, regularne zbiórki, kominki, biwaki, rajdy, akcje zarobkowe – coś się dzieje.

Do drużyny zaczynają zgłaszać się z powrotem ci, którzy z niej przedtem odeszli. Ale w tej drużynie chusty nie dostaje się ot tak, po prostu. Trzeba odbyć bieg na chustę, a więc wykazać się dobrą postawą i idealną znajomością bohatera drużyny. Ale jak się potem tę chustę szanuje! Po trzech miesiącach, jeśli zasłuży się koleżeńskością i w dalszym ciągu dobrą postawą, składa się przyrzeczenie i otrzymuje krzyż. A już najtrudniej zdobyć stopień ochotnika.

ADAM: Mam kilku kolegów o takim samym stażu jak ja, którzy nie mają jeszcze ani krzyża, ani stopnia.

BARBARA: Nie ma mowy o dawaniu stopni awansem.

Większość drużyny stanowią młodsi harcerze: V, VI klasa. Muszą się więc harcerstwa uczyć. Jacek i Andrzej prowadzą zastępy, wychowują przyszłych samodzielnych zastępowych.

ADAM: W 78/79 roku byłem w zastępie Jacka. Dużo się uczyliśmy. Opanowywaliśmy kwatermistrzostwo, samarytankę, poznawaliśmy strukturę ZHP, uczyliśmy się terenoznawstwa – najpierw teorii, potem urządzaliśmy biegi patrolowe. Jacek nauczył nas wielu piosenek harcerskich. No i mieliśmy w ciągu roku 3 biwaki drużyny i aż 4 biwaki zastępu. Były i kilkudniowe. Na biwakach zawsze kucharzyłem i jakoś mnie nawet za to chwalili. A 8 marca, kiedy nasz zastęp otrzymał zadanie przygotowania poczęstunku dla pań, zachwyciliśmy wszystkich wspaniałym tortem czekoladowym.

W tym roku sam jestem zastępowym i chcę wzorować się na Jacku. Szykujemy się do rajdów o najlepszy zastęp szczepu i najlepszy zastęp hufca. Reprezentować drużynę będzie jej najlepszy zastęp, współzawodnictwo więc już się zaczęło. Organizuję wypady do różnych miejsc w Warszawie, związanych z Szarymi Szeregami (nasz hufiec nosi imię Szarych Szeregów). Byliśmy w muzeum historycznym, zapoznałem moich chłopaków z historią kilku warszawskich pomników. Zacząłem od Kopernika, bo przecież my jesteśmy „Kopernicy".

DUŻO CZY MAŁO?

Co osiągnęli przez ten rok?

WOJTEK: Udało się nam przyciągnąć i zainteresować harcerstwem paru ludzi, którym do tej pory ich koledzy ze szkoły nie chcieli nawet podawać ręki. Pokazaliśmy im coś innego niż mieli do tej pory. I okazało się, że dla tych chłopaków wspólna praca i zabawa to ogromne przeżycia, nie mówiąc już o tym, czym jest dla nich otrzymanie stopnia harcerskiego. Im po prostu na harcerstwie ogromnie zależy, a mnie zależy na nich.

JACEK: Nam wszystkim zależy. Każdy chce, żeby – jeśli już z nami są – coś sobą reprezentowali. Młodsi, którzy teraz na pewno częściej się kłócą niż rozmawiają ze sobą, za parę lat będą tacy jak my z Maćkiem i Andrzejem: będą wspomagać się nawzajem i we wszystkim na sobie polegać. To drużyna ich zespoli, tak jak nas.

WOJTEK: Nasi harcerze wiedzą już, że mundur, krzyż harcerski do czegoś zobowiązują. Tym bardziej że przed nimi nosili go Rudy, Alek, Zośka i inni chłopcy z Szarych Szeregów, którzy walczyli i ginęli za Ojczyznę. Więc kiedy są w mundurze, potrafią się zachować.

Pomimo że to wszystko jest prawdą, druhna Barbara... jest rozgoryczona.

BARBARA: Byłam przekonana, że po roku będę miała drużynę jak należy, a tymczasem nie udało się. Zastępowi mają za mało wiadomości harcerskich i zdecydowanie za mało inicjatywy. Nie można też powiedzieć, że polecenia harcerskie wykonują z ochotą. Wykonanie zadania to dla nich odwalenie roboty. A za atrakcję uważają jedynie obóz, wycieczkę, biwak. Chcieliby mieć same tylko przyjemności. Brakuje nam pełnego umundurowania. Ale największą pretensję mam do siebie o to, że nie potrafiłam w ciągu tego roku wychować instruktorów z prawdziwego zdarzenia.

WIESIEK: Baśka chciałaby, żeby od razu wszystko było dobrze. A to przecież niemożliwe. I tak zrobiliśmy bardzo dużo. Jak dużo? Mogę w pełni liczyć na większość uczestników tegorocznego obozu (było ich 24), mogę od nich wymagać, nie zawiodą. Nie mówiło się u nas o harcerskim starcie, bo nie mieliśmy przerwy w pracy. Zaraz po obozie odbyła się pierwsza zbiórka, a już 20 sierpnia reprezentowaliśmy hufiec na uroczystości w Palmirach. Zaledwie w półtora tygodnia po rozpoczęciu roku szkolnego pełna 40 stanęła jak mur. Za stan i umundurowanie otrzymaliśmy nawet pochwałę w rozkazie komendy hufca. Chociaż nie kładziemy specjalnego nacisku na dyscyplinę formalną, kiedy powie się „trzeba przyjść, jesteście potrzebni" – harcerze są.

Sprawy organizacyjno-kwatermistrzowskie mamy uporządkowane. Ale nie to najbardziej mnie satysfakcjonuje. Podbudowuje mnie każde ich przyjście do mnie z prywatną sprawą. To dowód, że jesteśmy potrzebni.

Barbara ma ogromny staż harcerski, porównuje więc to, co było przed kilku laty z tym, co jest teraz. Może dlatego nie potrafi się tak łatwo cieszyć. Wiesiek w porównaniu z nią dopiero zaczął. To, co dla niej jest czymś oczywistym, jemu sprawia radość, jest sukcesem.

WIESIEK: Dowody niektórych naszych osiągnięć wiszą w postaci dyplomów na ścianach harcówki. Ale najciekawszym osiągnięciem jest to, że bez „dobrowolnego przymusu", a jedynie naszą działalnością zdołaliśmy zainteresować i przyciągnąć już tyle osób (na 350 uczniów w szkole jest 58 harcerzy); że chcą tu przychodzić i czują się fajnie; że chcemy mieć szczep i wierzymy, że będziemy go mieć.

EWA KOSIŃSKA

Na tle pięknej sylwetki Zamku Królewskiego w Warszawie, ustawiono estradę, wokół której zebrały się tłumy widzów, aby podziwiać krasomówcze występy przewodników miejskich PTTK. Niedzielni spacerowicze, wycieczki i młodzież oklaskami i śmiechem reagowali na słowa płynące z estrady. Bo przecież każdy z występujących starał się jak najpiękniej opowiedzieć o Warszawie i jej historii, dniu dzisiejszym i przyszłości. Nikt nie szczędził żartu i anegdoty. Popisy urozmaicały występy warszawskich aktorów oraz orkiestra z Chmielnej.

Jury po długiej naradzie przyznało w tym pierwszym konkursie krasomówczym przewodników miejskich PTTK pierwszą nagrodę pani Annie Karłowicz.

Fot. JACEK ŁOPUSZYŃSKI
WOJCIECH WRÓBLEWSKI

W nowej wersji „Przeminęło z wiatrem” niezapomniana VIVIEN LEIGH!

GWIAZDOZBIÓR

Jej prawdziwe nazwisko brzmiało Vivian Mary Hartley, ojciec z pochodzenia był Francuzem, a matka Irlandką. Jedyna córka bogatego właściciela przedsiębiorstwa eksportowo-importowego w Indiach odebrała staranne wykształcenie: w Anglii, we Włoszech, we Francji i w Niemczech. Kiedy miała zaledwie 14 lat brała pierwsze lekcje sztuki aktorskiej u znanej aktorki Comédie Française. Akademię Sztuki Dramatycznej w Londynie ukończyła mając lat 19 i... wyszła za mąż za młodego zdolnego adwokata Herberta Leigh Holmcena. Ale życie rodzinne nie zaspokajało ambicji młodej kobiety. Mimo niechętnego stosunku męża do jej aktorskich planów Vivian postanowiła grać. Zgłosiła się do agenta teatralnego i prosiła o znalezienie pracy dla niej w zespole teatralnym lub jakiejś wytwórni filmowej. Jako pseudonim przyjęła drugie imię swego męża, a w swoim własnym imieniu by dodać mu oryginalności zmieniła literę „a” na „e” – tak powstała Vivien Leigh.

Zadebiutowała rolą w filmie „Sprawy dobrze wyglądają” w roku 1934. Na premierze obecny był sam „król angielskiej kinematografii” – Aleksander Korda, którego zachwycił talent młodej aktorki. Zaproponował jej natychmiast 5-letni kontrakt. Ale krytyka w swych ocenach była bardziej powściągliwa. Pisano o jej delikatnej urodzie, wdzięku i swobodzie gry, ale jej wrażliwości, znakomitej techniki i oryginalnych interpretacji nie doceniano. Przełom w tych ocenach nastąpił, gdy Vivien Leigh zagrała w filmie Aleksandra Kordy pt. „Wyspa w płomieniach” wg popularnej powieści A.E.W. Masona. Jej partnerem był słynny odtwórca ról szekspirowskich Laurence Olivier. Znała go już wcześniej, ale dopiero na planie tego filmu zaprzyjaźnili się serdecznie i postanowili wspólnie pracować nad inscenizacją „Hamleta”. Vivien zagrała po raz pierwszy w teatrze – Ofelię. Sukces tego przedstawienia był początkiem teatralnej kariery artystki, która od tej pory grała prawie we wszystkich sztukach reżyserowanych przez Oliviera. Był też początkiem jej nowego życia, gdyż przyjaźń ich przerodziła się w miłość i wkrótce para wybitnych artystów stanęła przed ołtarzem.

Vivien w Wielkiej Brytanii uważana już była za znakomitość aktorską, za granicą natomiast nie była znana. I przyszedł rok 1938. Małżonkowie musieli się rozstać. Podczas gdy Vivien pracowała nad teatralną rolą Tytanii w „Śnie nocy letniej”, Olivier wyjechał za ocean, do Hollywood. Miał zagrać w filmie „Wzgórza wiatru” wg powieści Emilii Brontë. Ponieważ niestanie przeciągało się, Vivien zrobiła sobie przerwę w zajęciach i wybrała się do Hollywood odwiedzić męża. Nie wiedziała jeszcze, że jedzie tam po największą rolę swojego życia.

Bestsellerem czytelniczym była wówczas książka Margaret Mitchell „Przeminęło z wiatrem”, opiewająca odporność na ciosy wojny secesyjnej plantatorów Południa. Producent Dawid Selznick nabył prawa do jej filmowania. Miał powstać pierwszy film – gigant, zrealizowany w technicolorze, co było wówczas jeszcze eksperymentem. Główna rola – rola Scarlett O'Hara była jeszcze nie obsadzona i marzyły o niej nie tylko debiutantki, ale i najsłynniejsze gwiazdy ekranu. Posuwały się do najbardziej nieprawdopodobnych chwytów reklamowych, aby zwrócić na siebie uwagę twórców filmu. Pewna aktoreczka z Pensylwanii np. zapakowana w ogromny model powieści z napisem „Przeminęło z wiatrem” na stronie tytułowej wysłała się w prezencie do samego Selznicka. Kiedy pudło wniesiono do jego gabinetu, karta tytułowa uniosła się i przed zdziwionym producentem stanęła młoda dziewczyna, która powiedziała przejmującym głosem: „Jestem duchem Scarlett O'Hara”.

Vivien nie zamierzała stawać do tego konkursu. Chociaż Olivier uważał, że doskonale nadawała się do roli Scarlett – nie chciała o tym słyszeć. Do studia, w którym kręcono pierwsze sceny „Przeminęło z wiatrem”, zwabiono ją podstępem, aranżując przypadkowe spotkanie z reżyserem. Olivier wiedział co robi – twórcy filmu stracili wszelkie wątpliwości, a Vivien nie pozostało nic innego jak zgodzić się na wspaniałą propozycję. Po 20 tygodniach wytężonej pracy powstał film, który do dziś pozostaje rekordzistą kasowym. Vivien Leigh zrobiła światową karierę występując u boku Clark Gable'a, Leslie Howarda i Olivii de Havilland. Za tę rolę otrzymała swego pierwszego „Oscara” – nagrodę Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej w Los Angeles.

Drugiego „Oscara” zdobyła w 1951 roku za rolę Blanche Dubois – kobiety zawiedzionej i na wpół obłąkanej w filmie reżyserowanym przez Elię Kazana wg sztuki T. Williamsa „Tramwaj zwany pożądaniem”.

Dziś znów możemy podziwiać Vivien Leigh w „Przeminęło z wiatrem”. Od czasu premiery film był pieczołowicie wznawiany w oryginalnej wersji, a w 1967 roku zdecydowano się, by pokazać go na największym z ekranów z dźwiękiem stereofonicznym. Był to poważny problem techniczny. Trzeba było dokonać „kosmetyki” obrazu, by móc go powiększyć. Zaprojektowano specjalne urządzenie o nazwie „Metro – movement” do przekopiowania filmu na taśmę 35 mm Eastmancolor. Dopiero z niej przy pomocy oryginalnej „maski” można było korygować proporcje. Pewne ujęcia powiększono, inne z kolei wymagały obcięć. Nowa wersja – cud techniki – nie jest identyczna z dawną. W każdym razie film w nowym blasku triumfalnie wszedł na światowe ekrany i znów możemy podziwiać w nim niezapomnianą Vivien Leigh w roli – jak to powiedziała w jednym z wywiadów udzielonych u nas w Warszawie w 1957 roku – „największej i najważniejszej w życiu”.

Opracowała E.B.

Prawe - lewe, prawe - lewe...

Otrzymałam ostatnio od jednej z Was list na temat rzeczy włóczkowych rękodzielniczo, czyli własnoręcznie na drutach wykonywanych. Autorka pisze w nim, że jest jak najbardziej „za” i co nieco tajników tej sztuki już zgłębiła, ale problem ma straszliwy, bo o ile w krojach (jak robić sweter, a jak czapkę) orientuje się całkiem nieźle, to o tyle w ściegach jest „noga” – zna tylko ścieg podstawowy (tzw. „prawe” i „lewe”), no a to ogranicza ogromnie jej pole działania, bo ileż można sobie zrobić rzeczy „na gładko”?!

Odpowiadając na to ostatnie postawione we wspomnianym liście pytanie chciałabym wyjaśnić, że BARDZO WIELE. I wcale nie muszą to być rzeczy robione „na gładko”. Kombinacje bowiem tych podstawowych „prawych” i „lewych” stwarzają ogromne ilości możliwości. I wcale nie „na gładko” to wychodzi. Nie wspominam tu szerzej o sprawie tak banalnej jak ściegi ściągaczowe (prawe – lewe, dwa prawe – dwa lewe, trzy prawe – trzy lewe...), bo to jest chyba jasne, ale operując „prawymi” i „lewymi” można wytworzyć różne fajne wzory, które ze ściągaczem nie mają nic wspólnego. Schemat, jak się do sprawy zabrać, pokazałam na rysunku (obojętne, czy kropki, to „prawe”, a kreski – „lewe”, czy na odwrót, bo wzór może być robiony „prawymi” na „lewych”, albo „lewymi” na „prawych” – jak się komu podoba). I właściwie to, co na rysunku, to wzory szalenie banalne, prymitywne wręcz (co nie znaczy, że nieciekawe), ale idąc tym tokiem myślenia można sobie zaprojektować coś znacznie bardziej oryginalnego i skomplikowanego. Np. kwiatki jakieś, serduszka, kombinacje kropek i paseczków, kratkę...

Nie ukrywam jednak, że jest to szkoła jazdy ciut wyższa jakby, wymagająca przede wszystkim staranności i precyzji (mała pomyłka w trakcie wykonywania i plan bierze w łeb!) wyższej niż przeciętna. Natomiast proste (geometryczne) kombinacje „prawych” i „lewych” są dostępne naprawdę dla każdego. Tymi właśnie prostymi kombinacjami są wykonane te rzeczy, które prezentuję dziś na zdjęciach. Które (zdjęcia) pokazują równocześnie to wszystko, co z włóczki warto sobie wykonać – a więc i kamizelkę, i pulower wkładany przez głowę, i sweter rozpinany z przodu (tutaj – na zamek błyskawiczny), i sukienkę całą (długo się to dzierga, ale jaki efekt!), i dodatki zimowe: czapkę, rękawiczki, szalik. Kto drutami choć jako tako macha, radzę – niech nad sprawą pomyśli! Naprawdę warto!

RIUSZKA

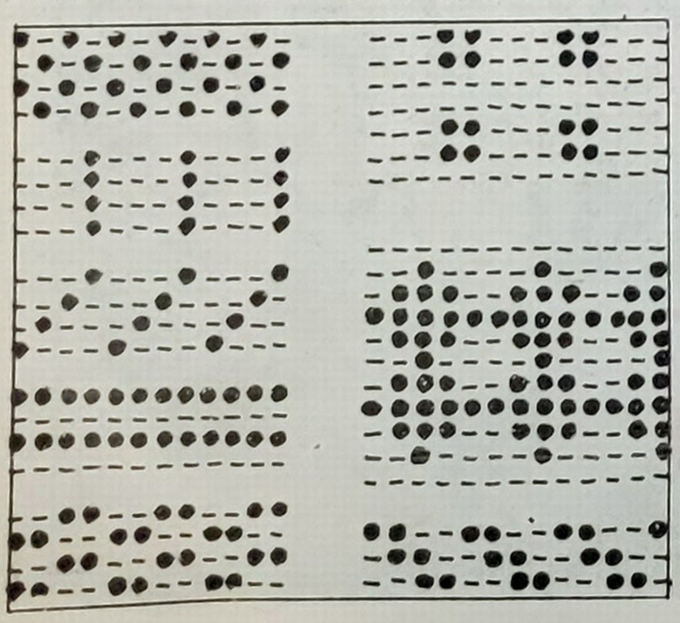

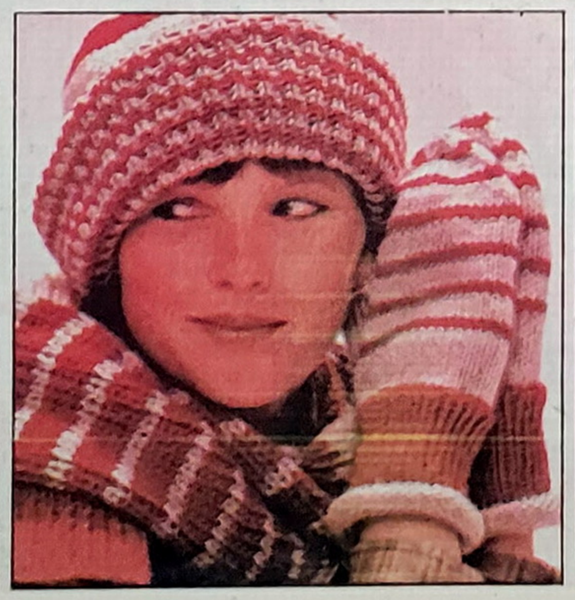

Uwaga, Robert Łukasz Królikowski z Tarnowa oraz ci wszyscy, którzy nadesłali do TOMIKA relacje z obserwacji UFO przez załogi amerykańskich wypraw kosmicznych, szczególnie w kierunku Księżyca. Przytoczone przez Was opisy mają jakoby świadczyć niezbicie, że UFO to fakt realny. Wszak doniesienia pochodzą od astronautów, a więc wysokiej klasy fachowców. Muszę Was jednak rozczarować – „dowody" te nie są miarodajne. Dlaczego? Dowiecie się o tym jeśli przeczytacie wyjaśnienie, które ukazało się w „Życiu Warszawy" w dodatku „Życie i Nowoczesność" w numerze 484 z 30 sierpnia br. I drugie rozczarowanie, w dniu 20 sierpnia br. – o czym doniosło mi kilkunastu korespondentów – nad Polską nie pojawiły się obiekty UFO. A co to było – przeczytajcie poniżej.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

Niestety, nie posiadam aktualnie zdjęć polskich meteorytów, to co widzicie na zdjęciu – to niewielki meteoryt żelazoniklowy znaleziony w Arizonie (USA)

To był meteor – nie UFO

W połowie października Polska Agencja Prasowa opublikowała pierwsze wyniki badań o tajemniczych obiektach, które pojawiły się nad Polską 20 sierpnia br. Jak wiadomo tego dnia w godzinach wieczornych obserwowano w różnych rejonach kraju, m.in. na Wybrzeżu, w Warszawie, Łodzi i w okolicach Poznania przelot kilku ognistych kul.

Astronomowie stwierdzili, że była to grupa 10–11 obiektów złożona z kilku bolidów, czyli bardzo jasnych meteorów oraz paru mniejszych meteorów. Obiekty te wiązano z tzw. rojem perseid – strumieniem meteorów, który w sierpniu przecina orbitę Ziemi.

Jak informuje dr Henryk Kuźmiński z obserwatorium astronomicznego Uniwersytetu Poznańskiego – zebrano już dużą ilość danych o tym zjawisku. Są to relacje od bezpośrednich obserwatorów. Wielu z nich podaje bardzo istotne szczegóły, które umożliwiły dokładne rozpoznanie tajemniczych obiektów. W świetle dotychczas zebranych materiałów astronomowie doszli do wniosku, że był to tzw. detonujący bolid, który po wejściu w gęste warstwy atmosfery płonął i gwałtownie rozpadał się na mniejsze fragmenty. Miało to miejsce właśnie podczas przelotu nad Polską. Na podstawie wstępnych obliczeń astronomowie przypuszczają, że bolid miał masę od kilku do kilkunastu ton.

Bolid leciał z północnego wschodu na południowy zachód. Pierwsze obserwacje pochodzą z okolic Olsztyna i Mrągowa. Na północy widziano kulę z ognistym warkoczem – ale obserwatorzy z okolic Warszawy i na terenie Wielkopolski widzieli już grupę obiektów lecących równolegle i zostawiających szeroki ślad. Płonące bolidy pozostawiają w atmosferze strugę gazów i pyłów.

Ze wstępnych obliczeń wynika, że pewne fragmenty rozlatującego się nad Polską bolidu mogły spaść w południowej części naszego kraju. Niestety dotychczas brakuje informacji o obserwacjach z południowej Polski.

Obserwatorium astronomiczne Uniwersytetu Poznańskiego – Poznań ul. Słoneczna 61 – specjalizujące się m.in. w badaniach meteorytów, prosi o sygnały od wszystkich, którzy widzieli 20 sierpnia przelot i ewentualny upadek bolidu. Dotyczy to przede wszystkim obszarów położonych na południe od Poznania.

Bolid widziany w Polsce 20 sierpnia jest niecodziennym zjawiskiem. Przeważnie obserwowane są małe meteory – zaś tak duże i jasne obiekty spotyka się bardzo rzadko. W dalszym ciągu prowadzone będą badania wielkiego bolidu. Będą to głównie próby dokładniejszego obliczenia elementów jego orbity i masy.

Polskie meteoryty

Chciałbym przedstawić Czytelnikom TOMIKA listę meteorytów odnalezionych w Polsce, a także dane o kraterach meteorytowych w naszym kraju. Zacznę od kraterów.

W najnowszym katalogu kraterów meteorytowych na Ziemi – katalogu Classena – sklasyfikowanych jest 230 kraterów, w tym 8 o średnicy ponad 100 km (trzy z nich nie są jeszcze z całą pewnością pochodzenia meteorytowego). Największy krater na Ziemi ma średnicę ok. 440 km, a jest nim część Zatoki Hudsona w Kanadzie.

W katalogu tym można również znaleźć opis grupy kraterów Morasko. Grupa ta liczyła pierwotnie 8 kraterów; obecnie jest ich tylko 7, gdyż jeden został... zaorany. Największy krater tej grupy ma ok. 100 m średnicy i 13 m głębokości. W Polsce znajduje się jeszcze jeden krater – w pobliżu Fromborka. Jego meteorytowe pochodzenie zostało stwierdzone niedawno. Na dnie krateru znajduje się mały zbiornik wody o głębokości ok. 1,5 m. Krater ma średnicę ok. 250 m. Różnica poziomów między lustrem wody a najwyższym południowym wałem wynosi 24 m. Ponieważ meteoryt „Frombork" leciał pod bardzo małym kątem do powierzchni ziemi (5 – 10°) północny wał krateru praktycznie nie istnieje. Zapewne wiele jeszcze kraterów na terenie naszego kraju czeka na swych odkrywców.

W Polsce odnalezionych i udokumentowanych zostało 18 meteorytów (odłamki jednego meteorytu traktujemy jako całość). Wiele spośród nich zaginęło podczas działań wojennych. Sporo też znajduje się w muzeach poza Polską.

A oto lista polskich meteorytów:

1. Białystok – kamienny, spadł 5 października 1827 r.
2. Grzempy – kamienny – spadł 3 września 1910 r.
3. Krządka – żelazny, znaleziony w 1929 r. (zaginął).
4. Lenarto – żelazny, znaleziony w 1814 r.
5. Łowicz – żelazno-kamienny, spadł 13 marca 1935 r.
6. Morasko – żelazny, znaleziony w 1914 r.
7. Oborniki – żelazny, znaleziony między 1933 a 1936 r. (zaginął).
8. Piława Górna – kamienny, spadł 17 maja 1879 r.
9. Pomorze – żelazny, znaleziony między 1930 a 1939 r. (zaginął).
10. Przełazy – żelazny, znaleziony przed 1847 r.
11. Pułtusk – kamienny, spadł 30 stycznia 1868 r.
12. Ratyń – kamienny, spadł 24 sierpnia 1880 r. (zaginął)
13. Skalin – kamienny, spadł 11 kwietnia 1715 r.
14. Sulechów – żelazny, spadł 20 stycznia 1845 r.
15. Świdnica Górna – kamienny, znaleziony w 1857 r. (zaginął)
16. Świecie – żelazny, znaleziony w 1850 r.
17. Dąbrowa Łużycka – kamienny, spadł 6 marca 1636 r. (zaginął).
18. Wilkanówko – kamienny, spadł 22 marca 1841 r.

Najobfitszym spadkiem meteorytów był deszcz meteorytowy pod Pułtuskiem. Spadło wówczas ponad 100 tysięcy kosmicznych kamieni o łącznej masie ok. 10 t. Do zbiorów trafiło kilkanaście tysięcy okazów o masie kilkuset kilogramów.

Krzysztof Rochowicz (14 L)
al. Kaliningradzka 61/81,
10-437 Olsztyn

OD REDAKCJI: Ostatnio Polska Agencja Prasowa podała następującą wiadomość. Polscy astronomowie badają ślady tajemniczego meteorytu, który spadł w kwietniu 1971 r. w rejonie Godzięcina w woj. opolskim. Jak informuje dr Henryk Kuźmiński z Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Poznańskiego wygląd zewnętrzny i ciężar znalezionych brył pozwalają przypuszczać, że są to szczątki bardzo rzadkiej odmiany meteorytu kamiennego – achondrytu.

Zebrano już około tony odłamków – z których największe mają wagę 53 kg i 46 kg. Obecnie prowadzi się szczegółowe badania mające na celu ostateczne ustalenie kosmicznego pochodzenia znalezionych brył. Są to m.in. badania chemiczne i mineralogiczne. Przeszukuje się także teren w celu znalezienia nowych odłamków oraz śladów upadku poszczególnych brył. Drugi kierunek badań obejmuje próby odtworzenia głównych elementów lotu meteorytu, który spalając się w gęstych warstwach atmosfery rozerwał się nad powierzchnią ziemi i spadł w postaci deszczu drobnych odłamków. Odpryski meteorytu porozrzucane są w pasie długości ponad 2 km.

A może właśnie tak powstał Księżyc?

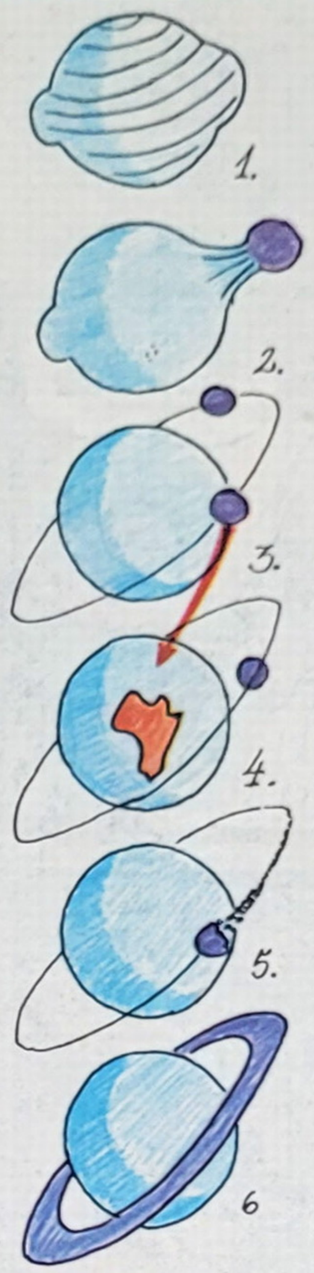

1. Ziemia przed 4 miliardami lat. Z jej płynnej masy wynurzają się uwypuklenia – przyszły Księżyc.

2. Odrywający się Księżyc pozostawia w skorupie swej matki – Ziemi lukę, która staje się dnem Pacyfiku.

3. Początkowo wokół Ziemi krąży kilka Księżyców.

4. Niektóre Księżyce spadają na glob. Jeden z nich utworzył kontynent – Afrykę.

5. Księżyc, ostatni z krążących wokół Ziemi satelitów zbliża się do planety, a następnie po osiągnięciu granicy Rochea rozpada się na fragmenty.

6. Fragmenty rozpadu krążą wokół Ziemi tworząc pierścień podobny do pierścienia Saturna, a po pewnym czasie spadną na glob. Pierścień zniknie.

Wiadomości do tego artykułu zaczerpnąłem z książki Fritza Kahna „Wszechświat, ty i ja".

Krzysztof Goździewski
(członek PTMA),
Krępa Nowa;
06-321 Bartniki

WIELKIE LABORATORIUM NATURY

DOKOŃCZENIE ZE STR. 2

stacji i przystosowanie jej do długofalowych badań oraz cel drugi – rozpoczęcie systematycznych badań w dziedzinach glacjologii, geomorfologii, geologii i geofizyki. Wyniki obserwacji geofizycznych przekazywaliśmy do kraju, do centrów naukowych, gdzie były na bieżąco opracowywane. Na podstawie naszych danych meteorologicznych sporządzano mapy synoptyczne rejonów Morza Barentsa i Morza Grenlandzkiego. Wyniki innych badań pozwolą na lepszą interpretację przeszłości geologicznej Polski. Spitsbergen jest bowiem wielkim laboratorium natury. Obserwowane tam obecnie procesy kilkanaście tysięcy lat temu dokonywały się na terenie dzisiejszej Polski.

– Wyprawa, jako druga w historii naszych badań arktycznych, zimowała wśród lodów. Wymaga to szczególnej odporności psychicznej i fizycznej.

– Zima była niezwykle surowa. Temperatury dochodziły do minus 34 st. C. Jednak nie niskie temperatury były najbardziej uciążliwe. Najmocniej dokuczały nam wiatry, wiejące niekiedy przez dwa, trzy tygodnie. Bywało, że prędkość wiatru przekraczała 45 m/sek, była więc poza skalą naszych instrumentów. Trzeba wtedy stosować typowo alpinistyczną asekurację.

Przez trzy miesiące mieliśmy noc polarną, niezwykle deprymująco działającą na ludzi. Niektórzy z kolegów nie potrafili ustalić cyklu pracy i wypoczynku. No i niedźwiedzie... W pobliżu stacji przebywało 241 niedźwiedzi. Zmuszało to nas do ciągłej czujności, tym bardziej że w pierwszych dniach pobytu zdarzył się groźny wypadek. Zaatakowany został i poraniony przez białego niedźwiedzia jeden z meteorologów. Gdy więc ktokolwiek wychodził na zewnątrz, musiało mu towarzyszyć dwóch uzbrojonych ludzi. Byliśmy jedyną polską placówką naukową, która przez dziesięć miesięcy pracowała z bronią w ręku. Doszło do paradoksalnej sytuacji – obawialiśmy się nie tyle niedźwiedzi, ile nieostrożności w obchodzeniu się z bronią. Na szczęście wyprawa zakończyła się pomyślnie.

– Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
MIECZYSŁAW KOMUDA

– A skąd bierzesz pieniądze na te podróże?

– Jakoś dotychczas się udawało. Trochę dawała mi rodzina, trochę zarabiałem. Przywoziłem na sprzedaż rozmaite drobiazgi artystyczne, kupowane w tutejszych antykwariatach, albo na bazarach, ot, choćby tam, gdzie spotkaliśmy się pierwszy raz. Potem jeszcze... No, cóż mogę wam powiedzieć, teraz i tak to wszystko już nie jest ważne, trochę szmuglowałem narkotyki. To bardzo opłacalny przemyt.

– Nie wstyd ci było? – spytała Kasia.

René wzruszył ramionami.

– Wstyd? Tylu ludzi to robi! Ja sam spróbowałem wąchać te prochy, ale nie wpadłem w nałóg. Na szczęście, bo wtedy z człowieka robi się szmata. Ale za to przewożenie jest coraz trudniejsze. Technika wykrywania poszła naprzód, coraz łatwiej celnicy znajdują prochy. Wolałem dać sobie z tym spokój.

– Ale skąd się tu wziąłeś?

– Prawda, jeszcze wam tego nie powiedziałem. Otóż dotarły do mnie plotki o zapomnianych bogach, o ukrytej wśród dżungli świątyni i tak dalej. Powiedział mi o tym w zaufaniu pewien stary antykwariusz laotańskiego pochodzenia, który ma swój sklepik w Sajgonie. Zacząłem sondować innych ludzi, potem próbowałem się dowiedzieć czegoś od Georgesa, którego znałem już przedtem. Najpierw nie chciał o tym mówić i twierdził, że wierzę plotkom. Potem „puścił farbę" i przyznał, że coś takiego jest, ale za nic nie mogłem z niego wyciągnąć, co, gdzie, jak i którędy. A ja już się zbierałem, żeby wrócić do kraju, bo pieniądze mi się skończyły. Pomyślałem sobie, że gdyby mi tak się udało zrobić fajny reportaż o tych bogach w dżungli, zarobiłbym sporo forsy w „Paris Match", albo w innym ilustrowanym magazynie. Za takie rzeczy dobrze płacą. Naszą francuską prasę bardzo interesują tematy stąd, z Półwyspu Indochińskiego, ale muszą to być rzeczy ciekawe, nie oklepane. Wygadałem się z tym przed Georgesem. O dziwo! Nadspodziewanie łatwo zgodził się. Powiedział, że wpuści mnie do tego sanktuarium w dżungli, zanim posągi zostaną wypiłowane ze skalnych ścian, ale pod dwoma warunkami: po pierwsze – zostanę z jego ludźmi aż do zabrania posągów i zaraz potem z Bangkoku polecę do Paryża, nie z Vientiane, najkrótszą drogą, ale przez Tajlandię. A drugi warunek – że przedtem skoczę samolotem do Sajgonu i dostarczę mu stamtąd ładunek „prochów", które miały być przysłane inną drogą, ale ta droga zawiodła. Zgodziłem się i poleciałem do Sajgonu. Trochę mnie dziwiło, że mając na widoku kolosalne zyski, jeszcze się bawi takimi drobiazgami jak te narkotyki. Ale widocznie uważał, że od przybytku głowa nie zaboli. Zrozumiałem to dopiero, kiedy zobaczyłem przesyłkę. Była dużo większa niż myślałem, a dostawca chciał, żeby zabrać od razu wszystko. Tymczasem po Azji kręcą się ostatnio grupy ONZ-towskiej komisji walki przeciw narkotykom. W związku z tym na wszystkich lotniskach kontrole zostały wzmocnione. Kiedy to zobaczyłem, przyznam się wam, strach mnie oblecial. Kary za przemyt narkotyków bardzo się zaostrzyły. Sami rozumiecie, że nie miałem ochoty gnić w kryminale za takie głupstwa, nawet dla kamiennych bogów. Wróciłem więc z pustymi rękami, odnalazłem Georgesa i wszystko mu to wyłożyłem. Wściekł się najpierw jak szatan. Myślałem, że mnie pobije.

A potem, kiedy się uspokoił, oświadczył, że za dużo o tym wszystkim wiem i że mnie nie wypuści dopóki cała ta afera z ogołoceniem świątyni nie zostanie zakończona. I tak powinienem się cieszyć – powiedział – że jest dla mnie wyrozumiały. Potrzymali mnie w jakiejś spelunce – to było na przedmieściach Vientiane, aż do wieczora, potem zawiązali oczy, wsadzili do samochodu, zagrozili, żebym nie śmiał pisnąć, bo inaczej zrobią ze mną koniec na miejscu i przewieźli tutaj. Resztę już wiecie.

Na chwilę powróciła cisza.

– Aha! – dodał René jak gdyby coś sobie przypomniawszy. – Zanim się obudziliście, Georges chciał, żebym was namówił do napisania tego idiotycznego listu. Powiedziałem, żeby najpierw sami z wami porozmawiali. Że za mało mnie znacie, żebyście mogli mieć do mnie zaufanie. Zresztą naprawdę nie byłoby sensu zrobić inaczej. Czy ten drań potraktował was jakoś po ludzku?

– Uderzył Włodka – rzekła Kasia. – I pchnął go na ścianę.

– Byłby na tym nie poprzestał, ale ona mnie zasłoniła – dodał chłopiec. – Jakoś wtedy oprzytomniał.

– Świnia – mruknął René. – Ale i tak dobrze, że nic więcej... Teraz najważniejsze, żeby się stąd wydostać.

Cdn.

Atomek i Romek: TYTUS, Romek i A'TOMEK

TEKST I RYSUNKI PAPCIO CHMIEL

ŚWIAT MŁODYCH
FRANCUSKA GAZETA NASTOLATKÓW

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice.
(tel. 53-77-33, telex 03115569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.).

TELEFONY:
Red. naczelny: 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział łączności z Czytelnikami – 21-81-13
TELEX – 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji szkół w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy".

Opracowanie graficzne
Marek Trojanowski

Opracowanie techniczne
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego.

Nr zam. 6728/G C-113

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

W następnym numerze, który ukaże się w sobotę, 3.XI.br.

- Fotoreportaż Wojciecha Wróblewskiego przedstawiający zwykły dzień Agnieszki i Marka – uczniów wiejskiej szkoły w łomżyńskim.
- Sprawozdanie z finału minikarowych zawodów w Cieszynie.
- Opowieść o rzece Wołdze.
- Reportaż pt. „Jak przebić mur, to z... z głową".

WĄŻ MA GROŹNE OCZY

Monika Warneńska

— A ponadto w dżungli, choć to niebezpieczne to można kulką oberwać z tej lub z tamtej strony, kręcą się różni ludzie – drwale, myśliwi, chłopi wędrujący z jednej leśnej wioski do innej... Zawsze ktoś może się napatoczyć i zobaczyć to, czego widzieć nie powinien, czyli taki „zamach na bogów", jaki planował Georges i jego szefowie. Oczywiście można jednego czy drugiego niepożądanego świadka sprzątnąć, to nie załatwia sprawy. Ponieważ zaczęto o tym gadać, Georges chciał zapewnić sobie spokój przy wycięciu posągów ze skały i przystosowaniu ich do transportu. Po spotkaniu z wami w Luang Prabang wymyślił więc dodatkowy plan odciągnięcia uwagi władz od tej okolicy, gdzie znajduje się świątynia. Chciał więc mieć w tym rejonie całkowity spokój. Uprowadzenie was było rzeczą stosunkowo łatwą. Można przewidzieć, że tajemnicze zniknięcia dwojga Europejczyków, dzieci dyplomatów, postawi na nogi personel ambasad, ministerstwo spraw zagranicznych vientiańskiego rządu i władze. Zaczną się poszukiwania. Chodziło o to, aby kierunek tych poszukiwań był fałszywy. Mówiąc inaczej, żeby stworzyć pozory, że wywieziono was gdzieś indziej, na przykład w Dolinę Amfor. To zresztą mogło być prawdopodobne, bo wyście się tą doliną interesowali, a na razie walki w jej okolicach przycichły. Policja vientiańska to gnuśne lenie, które nie lubią się przemęczać, ani tym bardziej nadstawiać karku w cudzych sprawach. Ale wiadomo, że taka afera spowoduje interwencję ze strony głównych dygnitarzy rządowych, że szef waszej misji jest podobno bardzo energiczny.

– Ale skąd on to wszystko wie, ten Georges?

– Ba! To cwaniak, spryciarz kuty na cztery nogi. Był pewien, że wasze zniknięcie spowoduje wielki alarm w Vientiane – i na pewno miał rację. Sądził, że mogą pchnąć za wami jakąś jednostkę policyjną, a nawet wojskową – i chciał, żeby ta pogoń poszła mylnym tropem. Nikomu zresztą nie przyjdzie do głowy po otrzymaniu listu własnoręcznie przez was napisanego, żeby szukać was gdzie indziej, zwłaszcza, że dżungla, to przecież labirynt, leśne morze, w którym wcale nie tak łatwo się poruszać, a bardzo łatwo gruntownie zabłądzić. Na pewno będą próbowali przetrząsnąć niektóre wioski, leżące na szlaku, który prowadzi ku Dolinie Amfor. Być może, przeczeszą jakiś płytszy masyw leśny, głębiej się nie zapuszczą... Alarm i poszukiwanie pójdą w określonym kierunku, a o nic innego im nie chodzi... Zanim się zorientują, że trop jest mylny, świątynia będzie opróżniona z posągów, wszystko, co w niej najcenniejsze wywędruje na drugą stronę Mekongu, a wy i ja – miejmy nadzieję, wrócimy do swoich.

Zapadło milczenie. Cykady ucichły. W gąszczu dżungli nawoływały się ptaki. Włodek trzymając w ręku cienki patyk, machinalnie rysował nim na skrawku odsłoniętego gruntu jakieś geometryczne figury.

– No dobrze, René, ale powiedz, jak ty tutaj się dostałeś? I dlaczego cię trzymają?

– To całkiem inna sprawa. Jestem w Laosie nie pierwszy raz i Georgesa znam od dawna. Czasem załatwiałem mu pewne sprawy w Paryżu. Teraz jechałem powłóczyć się trochę po Azji i wpadłem, jak śliwka w kompot.

– Jesteś studentem?

– Jestem i nie jestem. Mam za sobą dwa semestry etnografii w Paryżu. Doszedłem do wniosku, że jeszcze zdążę zdobyć zawód, a przedtem powłóczę się trochę po świecie. Przerwałem naukę i najpierw pokręciłem się trochę z hipisami po Afganistanie i Nepalu. Ale te wszystkie ich teoryjki wcale mi nie odpowiadają. Dziwactwo i tyle!

Dokończenie na str. 7